Świadectwo pamięci

Pierwsze miesiące gimnazjum w Heliopolis, jeszcze w mundurach junackich. Obok w murowanym budynku znajdowały się klasy szkolne. Marzec 1943. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – Album Kozińskiego, fotografia z książki „Młodzież Andersa”.

Edward Zyman *(Toronto, Kanada)*

Na polskim rynku księgarskim ukazała się kolejna pozycja Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie wydana w koedycji z Muzeum Wojska w Białymstoku. Jest nią tom Henry Radeckiego *Młodzież Andersa. Wojskowe Szkoły Junaków 1941-1947*. Jej autor, emerytowany profesor socjologii, wykładowca kilku uniwersytetów kanadyjskich, były junak, kadet, abolwent Gimnazjum i Liceum Lotniczego w Heliopolis w Egipcie oraz aktywny działacz kanadyjskiej Polonii, napisał książkę ważną i potrzebną. Cenniejszą tym bardziej, że stanowi nie tylko zapis uczonego oparty na wielu trudno dostępnych dziś źródłach, lecz także przekaz świadka, znającego opisywany przedmiot z autopsji.

> *Dla Polaków – czytamy we wstępie – lata 1939-1945 pozostają ciągle fascynującym okresem; heroizm i tragedia uczestników kampanii wrześniowej i późniejszych walk na wielu frontach świata, dramatyczne historie bitew na morzu, w powietrzu i na lądzie, życiorysy mężów stanu, dowódców i żołnierzy, kryjące wiele tajemnic sprawy polityki i dyplomacji tamtych czasów wciąż inspirują historyków i*

politologów, pisarzy i filmowców. Mimo obszernej literatury naukowej, setek tomów pamiętników i wspomnień uczestników II wojny światowej, więźniów obozów koncentracyjnych, zesłańców deportowanych przez władze Związku Sowieckiego z Kresów Rzeczypospolitej w głąb nieludzkiej ziemi, a także mimo wielu ważnych dla naszej pamięci historycznej dzieł literackich, jest w dramatycznej historii Polski XX wieku temat, któremu poświęcono dotychczas nieproporcjonalnie mało uwagi. Tematem tym są powołane pod koniec 1941 roku przez dowództwo Wojska Polskiego w Związku Sowieckim Wojskowe Szkoły Junaków (i Junaczek, później Młodszych Ochotniczek), które rozpoczęły tam swoją działalność i rozwinęły się w pełni podczas wojny na Środkowym Wschodzie.

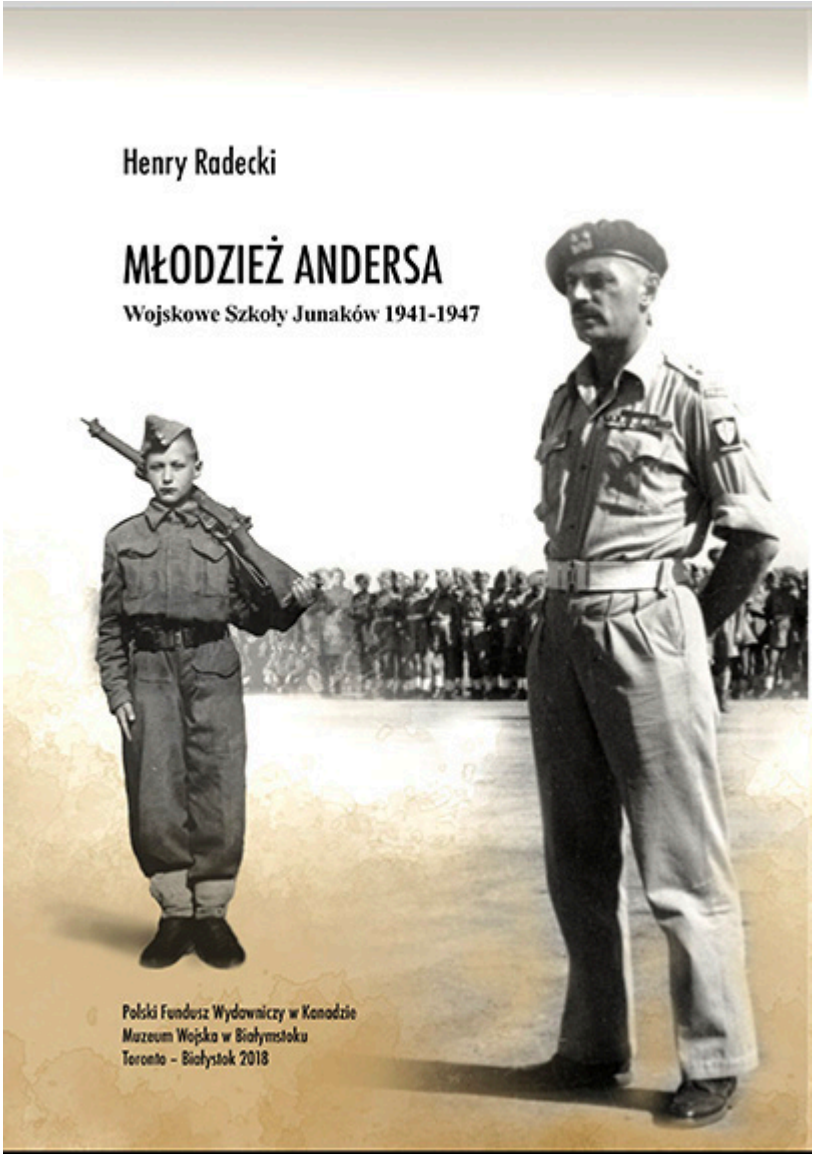

O fenomenie tego, bezprecedensowego w dziejach II wojny światowej zjawiska, pisze sugestywnie w posłowiu prof. Adam Dobroński. Znany badacz stwierdza m. in., że być może książka Henry Radeckiego jest ostatnią publikacją tego typu, którego autorem jest junak II wojny światowej. Niestety, biologia ma swoje prawa. Pokolenie największego kataklizmu XX wieku schodzi z dziejowej sceny. A wraz z nim odchodzą świadectwa zachowane w pamięci jej świadków. Pozostaną dokumenty utrwalone w postaci artykułów, rozpraw, wspomnień, książek. *Młodzież Andersa* jest takim właśnie dokumentem, którego wagi i znaczenia przecenić nie sposób.

Posłowie prof. Adama Dobrońskiego ukaże się w piątek 17 maja 2019 roku.

Artykuł Henryka Radeckiego o Muzeum im, Bolesława Orlińskiego w Kanadzie:

https://www.cultureave.com/muzeum-im-boleslawa-orlinskiego-w-kanadzie/

Kapuściński był jak znikający punkt…

Książka Marka Kusiby o Ryszardzie Kapuścińskim

Marek Kusiba (z lewej) z Ryszardem Kapuścińskim przed domem rodziny Connable (w roku 1920 mieszkal tam Ernest Hemingway), 2 grudnia 1996 r. podczas wizyty reportera w Toronto z okazji otrzymania Nagrody im. Turzanskich), fot. D. Kuprel.

Roman Sabo-Walsh

Kim jest reporter? Człowiekiem słuchu i człowiekiem spotkań.

W 2018 r. ukazała się książka o spotkaniach i słuchu dwóch reporterów – Mistrza Kapuścińskiego i czeladnika Kusiby[1]. Zapytałem autora o ten tytuł. Wyjaśnił: – Z daleka dlatego, że pisałem tę książkę z oddalenia, z Kanady, i z perspektywy północnoamerykańskiej oraz obecności Kapuścińskiego na tym kontynencie, obecności literackiej w przekładach i wywiadach, tudzież spotkaniach z czytelnikami (bywał często w Nowym Jorku, Toronto, czy w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie mieszkają jego siostra i córka); a z bliska dlatego, że znałem go osobiście, przez wiele lat się przyjaźniliśmy i często rozmawialiśmy, a rozmowy notowałem, z tych notatek i wspomnień powstała ta książka.

„Pisałem ją długo, praktycznie przez cały okres znajomości z Ryszardem” – wyznaje

Kusiba we Wstępie. Czego uczeń nauczył się od mistrza? Konkretu frazy, szacunku dla czytelnika, któremu należy się wywód klarowny oraz duża doza zaufania, gdyż będąc inteligentnym, pojmie. Jak również pięknej sztuki uhonorowania hierarchii – w tej książce od początku do końca wiadomo, komu należny jest szacunek i kto oraz dlaczego ten szacunek okazuje.

Otwarcie „raptularza" spotkań autora z twórczością Kapuścińskiego jest reportażem – sprawozdaniem z lektury tekstów opowiadających przy pomocy doniesień z dalekiej Afryki o rzeczywistości ustrojowej Polski z lat sześćdziesiątych. Kusiba przypomina, że kontekstowe pisanie było cechą szczególną Ryszarda Kapuścińskiego na długo przed *Cesarzem*, sugerując zapewne, że przez wszystkie 50 lat swoich peregrynacji po świecie Kapuściński trzymał się zasady objaśniania Polski przez świat i poznawania świata przez szczególny pryzmat swojej polskiej wrażliwości. A przy okazji powstaje tekst o peerelowskich latach przeżytych przez ucznia, studenta, młodego reportera, zakotwiczony przez Kusibę w konkretnym języku, z odtworzoną specyfiką fraz, pojęć, zdarzeń i przemian. Otwierający klamrę opowieści o demoralizujących praktykach studenckich lat sześćdziesiątych, domykający ją fragmentami reportażu Kapuścińskiego z Nowej Huty – czternaście lat po Ważyku, Kapuścińskim, sytuacja robotnika jest nadal taka sama – praca nie ma sensu, demoralizuje, jest harówą.

Kim jest Reporter?

> *Piszę tę książkę, bo chcę się podzielić z Czytelnikiem spotkaniami i rozmowami z Ryszardem Kapuścińskim. Ale muszę się do czegoś przyznać: ja nadal niewiele o nim wiem. Skrywał, zatajał, chronił swoje prywatne życie, nie dawał się poznać, nie zwierzał się nigdy, choć są w naszych spotkaniach wymowne momenty. Był zdyscyplinowanym wykonawcą narzuconych sobie nakazów, zakonnikiem własnej ostrej reguły i klauzury[2].*

Kapuściński nigdy nie dał się nikomu namówić na wywiad-rzekę. Jednocześnie sugerował młodszemu reporterowi, że właśnie napisany przez niego tekst będzie świetnym początkiem książki o… Kapuścińskim. I napominał – tylko jeszcze nie teraz, jeszcze za wcześnie. Pojętny uczeń, który przewertował i przemyślał wszystko, co o Mistrzu napisano, milczy na temat tych, którzy myśląc, że wiedzą bardzo dużo, albo i

wszystko o reporterze, układali sążniste teksty, włącznie z pseudo-biografią.

Kim jest uczeń? Reporterem o karierze, piszę to bez przesady, przerwanej w tym słynnym decydującym momencie fotografika Henri Cartier-Bresson'a, przez urzędników ubeckiego PRL-u. „Rozmowy ostrzegawcze" służby bezpieczeństwa w stanie wojennym miały taki, mniej więcej, przebieg: *Pan wie, panie redaktorze, że my wiemy, gdzie jest pańska żona, która właśnie ma zamiar przejść na drugą stronę ulicy, pan wie, tam gdzie zawsze taki wściekły ruch, i gdzie samochód mógłby się nie zatrzymać przed przejściem dla pieszych, którym żona pana redaktora właśnie przechodzi na drugą stronę ulicy pchając przed sobą wózek z dzieckiem…*

Z owocnego trudu lektury tekstów ucznia aż po rok 1984, przełomowy rok emigracji do Kanady, wynika co następuje: Kusiba zaczynał swoje reporterskie życie jak wszyscy – od dobrych chęci, patosu przedstawień, słów czasem zbyt wielkich, moralizujących konstatacji. Kończył, będąc reporterem białostockich „Kontrastów" i „Gazety Współczesnej", stylem prostym, nośnym, stawiającym fakt i sprawozdanie przed fanaberiami reportażysty. Byłby reporterem klarownym, inteligentnym, spostrzegawczym, uczciwym, trzeźwo przedkładającym fakty nad emocje, empatię nad obojętność. Ciekawym przedmiotu opisu, troskliwie układającym opis ze słów nośnych, zdań solidnych, wieści godnych uwagi i dokładnie sprawdzonych. Czyli reporterem, który po latach przerwy, uprawiania różnych poletek piórem – szczególnie felietonowego – wraca jako autor reportażu biograficznego i autoreportażu zarazem *Ryszard Kapuściński z daleka i z bliska*, którego bohaterem jest reporter, świat, i obopólne oddziaływanie.

Świat zmieniający się na naszych oczach. Do niepoznania? Czy do zrozumienia? Kusiba opisuje ciekawy wyjątek z tego nowego świata, torontońską bibliotekę uniwersytecką, wielką betonową bryłę w samym centrum miasta, znienawidzoną np. przez węgierskiego poetę na wygnaniu w Kanadzie, Georga Faludy. Bryła bryłą, nieadekwatna klimatyzacja, za to dostęp do wszystkich półek i godziny otwarcia od wczesnego rana do 24-tej. Kapuścińskiego uderzył

> *Wygląd tłumu studenckiego. Toronto? Ależ jestem raczej w Pekinie czy w Seulu, w Tokio, w Singapurze, w Kuala Lumpur […]. Azja opanowała wyższe uczelnie Nowego Świata (…)[3].*

Zastanawiając się nad tą obserwacją, autora tych słów, pomieszkującego kątem w Toronto (między innymi w jeszcze nie wynajętych, czy właśnie zdanych mieszkaniach bloku zarządzanego przez ciecia – jak sam siebie nazywa – Kusibę w samym centrum miasta) i z konieczności narzuconych przez koczowniczy styl życia właściwie czyniącego z biblioteki dom, ten wielorasowy świat również fascynował, co nie znaczy, że nie zdawał sobie sprawy z potwornego braku proporcji. Gdy opuszczał mury biblioteki zamykanej na cztery spusty o północy, był promilową mniejszością w przejętym sprawą kształcenia obcojęzycznym tłumie, na który składały się setki pilnych studentów.

Obie te uwagi, jakże lapidarne, są zaledwie zapisem spostrzeżeń, nie oferując refleksji nad tym, do czego to opanowanie bibliotek przez azjatycki świat może doprowadzić. Wielkość Chin, nie tylko rozwijących się ekonomicznie z szybkością światła, ale coraz agresywniej zachowujących się w świecie bezustannych zmian, czy to w Azji czy w Afryce, sprawnie przejmujących spuściznę wpływów i uzależnień od wycofujących się ze świata Stanów Zjednoczonych, oparta jest między innymi na wiedzy i ekspertyzie tych wszystkich absolwentów zachodnich uniwersytetów, tych oddanych sprawie wykształcenia inteligentnych, pracowitych, pokornie akceptujących zasady rozwojowe swoich państw prymusów.

Oczywiście, że podczas lektury książki Kusiby pojawia się myśl o zasadność jej powstania. Jaki sens pisania o nim we współczesnej Polsce. Różne odpowiedzi przychodzą na myśl, włącznie z tą o największym przegranym polskim reportażyście. Coż z tego, że hołubiony na świecie? Cóż z tego, że istnieje nagroda Jego imienia; że organizuje się konferencje, skoro Kapuściński nie zaistniał w polskiej szkole, na polskich uniwersytetach, a w powszechnej polskiej współczesnej świadomości zdaje się go po prostu nie być. Tak ważne dla Kapuścińskiego sprawy jak przejęcie się losami świata jako wspólnoty odpowiedzialności; otwarcie na Innego, między innymi przez próbę zrozumienia jego racji; pojęcie zgrozy czającej się za powszechnym pędem do dobrobytu za wszelką cenę, nie należą do języka współczesnej Polski. Za to dużo w nim braku poszanowania odmienności, zgody na neonazyfikację Europy; mantr o pasożytach i pierwotniakach, roznoszonych przez ludzi szukających schronienia przed okrutną wojną czy głodem, przypisanej im cholerze w Grecji, czy dezynterii w Wiedniu.

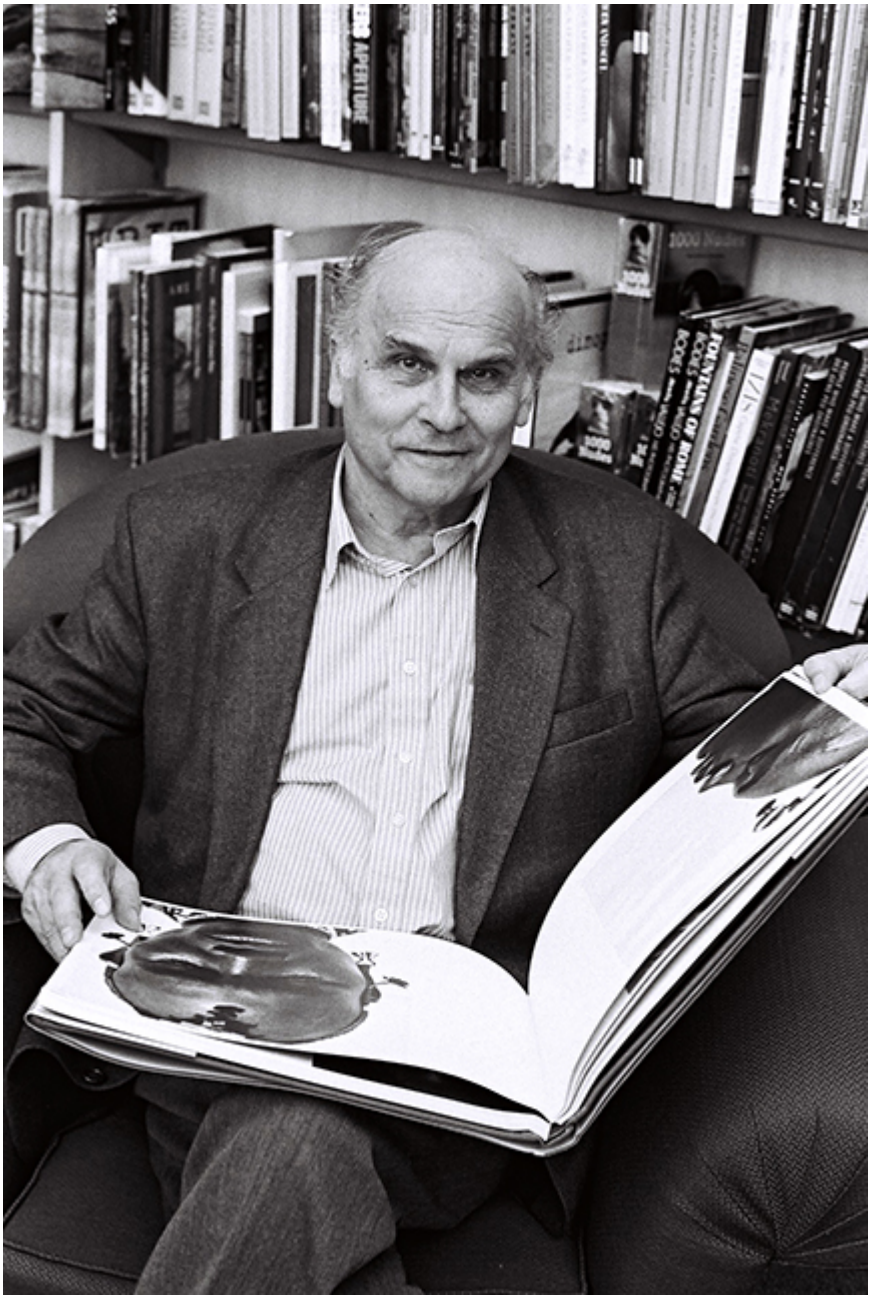

Ryszard Kapuściński, fot. Marek Kusiba.

Skrajnie prawicowi politycy lubią wysługiwać się ludzkim nieszczęściem. Widać to jak na dłoni w Polsce, ale widać to również w dzisiejszej Kanadzie. Mimo iż przeszło 40 tys. syryjskich uchodźców zostało bezkonfliktowo wchłoniętych przez 37-milionowe kanadyjskie społeczeństwo przed końcem roku 2017; mimo iż w 2017 otoczono opieką 20 000 uchodźców z USA przechodzących nielegalnie na kanadyjską stronę granicy z obawy przed antyemigracyjną polityką Trumpa, w przedwyborczej kampanii kanadyjscy konserwatyści uderzają w tony tak bliskie sercu przywódców, premierów, liderów, prezydentów: brak kontroli, rozpasanie migracyjnych mas, zanikające poczucie bezpieczeństwa wśród przeciętnych Kanadyjczyków,

nierozważne szafowanie publicznymi środkami, wydawanymi na obcych. Dwa najbliższe lata pokażą, czy tak bliska sercu Kapuścińskiego Kanada, kraj akceptacji, uśmiechu, zamieszkiwany przez wszystkie ludy świata, polityki życzliwej odmiennościom wielokulturowości, obroni się przed zżerającą już teraz Europę nieufnością do Innego, agresją wobec odmienności, powrotem w brunatną lub zaledwie izolatystyczną przeszłość.

A Kapuścińskiemu inaczej świat się układał w całość. Podczas wspólnej podróży z autorem po „ścianie wschodniej" 20 maja 1997 roku Kapuściński

> *(…) wspomina wczesne wyprawy na Suwalszczyznę i Białostocczyznę, gdy pisał reportaże dla „Polityki" zamieszczone później w „Buszu po polsku" (1962). Chętnie się tu wyprawiał z Warszawy, rozumiał niuanse językowe chłopów mówiących „po prostemu". Dobrze się czuł w wielojęzykowym i wieloreligijnym przekładańcu, bo tu i Rzym, i Bizancjum, katolicyzm i prawosławie, ale też islam; to ziemia kościołów, cerkwi, meczetów (dwóch czynnych, w Bohonikach i Kruszynianach) i synagog (nieczynnych). Tęsknił do Polski mozaikowej, niejednorodnej religijnie i etnicznie, jaką pamiętał z dzieciństwa w Pińsku, ojczyzny skleconej z Polaków, Białorusinów, Litwinów, Żydów, Tatarów, Niemców, Ukraińców, Łemków, Bojków, Wołochów, Karaimów, Cyganów i kogo tam jeszcze. Polskość kwitła zawsze najbujniej na podściółce wielorakich zapożyczeń kulturowych[4].*

Tragiczność postawy Kapuścińskiego związana jest również z ignorowaniem głównego przesłania prawie tysiąca stron lapidarnych zapisów, prostej w zasadzie, a jakże trudnej do wprowadzenia w życie w świecie pęczniejącym od miliardów pazernych stworzeń: trzeba ten świat kochać, troszczyć się o niego, pielęgnować.

A przecież świat powoli wpada w łapy rwaczy, przekonanych że filozofia rwactwa, przywłaszczania sobie wszystkiego bez miary i chwili refleksji, jakby trumny miały kieszenie, jest nie tylko zbożna, ale i uzasadniona przez tezy prymitywnego społecznego darwinizmu.

Opowieść o Ryszardzie Kapuścińskim, który „był jak znikający punkt" pióra Marka Kusiby, to coś więcej niż raptularz czy autoreportaż. Książka Kusiby to okazja to przemyślenia kilku niepokojących procesów przeobrażających nasz współczesny

świat, tak bardzo – by odwołać się do Timothy Snydera – zaangażowany w odwrót od demokracji. Trudno jest w tym momencie przewidzieć, co zwycięży – troska czy rwactwo – władzy, przywilejów, kasy. Zbyt wielu rządców naszego współczesnego, globalnego, uzależnionego od siebie świata, przypomina Afrykańczyka Deda, budującego swój zamek z piasku, w opisie którego obecne są podstawowe zasady budowania nowego światowego ładu:

> *Ded otrzepuje dłonie, jego zamek stoi już gotowy. Nic nie będzie zmieniał, tak jest najlepiej. Mocna i zwarta konstrukcja, bez poprawek i bez przebudowań, dzieło ręki, która się nie waha. Wysokie mury, kanciaste zabudowania, cień na dnie dziedzińca[5].*

Na koniec uwaga merytoryczna.

Dywagacje Kusiby na temat czy był Kapuściński *gonzo*, czy nie był, sprawiają wrażenie desperackiej próby terminologicznego usankcjonowania dokonań polskiego reportera na planie światowego reportażu. Dopóki trzymamy się amerykańskiego, a przecież nie amerykańskiego określenia *gonzo*, za bardzo nie wiemy w czym rzecz. Mówią, że on *Gonzo* – a niech sobie będzie *Gonzo*, byle nie Gonzalo. Jeżeli jednak pod puste znaczeniowo *gonzo*, podstawimy reportaż sowizdrzalski, reportaż łotrzykowski, *gonzo* pęknie jak mydlana bańka, i raz jeszcze zdamy sobie sprawę z odmienności dokonania Kapuścińskiego. O ileż bardziej – skoro już musimy wysługiwać się językami innych ludów – *sierioznego* w zamierzeniach, praktyce i dokonaniach. Zwłaszcza, że mamy już *gonzo* domowego chowu, *Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian* Ziemowita Szczerka, reportaż tyle obrazowy, co kontrowersyjny, mający za zasadę bezustanne obrażanie Ukraińców, co ma uzasadnić zasadność *pointy*: no i z kogo się śmiejecie, z samych siebie się śmiejecie.

Jeżeli słuszna jest lapidarna definicja samego Kapuścińskiego, że styl *gonzo* „zakłada uczestniczenie w zdarzeniach hedonistycznych, w skandalach itp. (…)”[6], którą zaczerpnął Kusiba z *Lapidarium*, pióro samo ciągnie po papierze myśl o hedoniźmie nędznych lepianek czy zakaraluszonych pokoików hotelowych, często opisywanych z ewidentną zgrozą przez autora *Hebanu*. A przecież te wszystkie ekstremalne osiągnięcia Kapuścińskiego biorą się z przedindustrialnej epoki, w której reporter uprawiał swój samotny zawód, wysyłany w świat bez środków do godziwego życia;

nieubezpieczony, bez jakiegokolwiek zaplecza, stając się uczestnikiem ekstremalnego doświadczenia. Jeżeli dopisało mu szczęście, wracał i opowiadał, jeżeli nie, czytelnik czytał na klepsydrze: urodził się, zmarł tragicznie, pogrążeni w żałobie. Jeżeli Hunter S. Thompson to *gonzo*, Kapuściński nim po prostu być nie może, tak jak buta uszytego na lewą nogę nie da się wygodnie nosić na prawej.

A teraz już najpoważniej na świecie – cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie. Nasza polska kultura piśmiennicza jest jak niezaorana, bujnie kwitnąca zielem rozmaitem wąska miedza. Jakże bogata w indywidualności. Poezja polska to kilka zaledwie nazwisk, ale przecież na lekturę, zachwyty, przeżycie piękna, i wyciągnięcie z tego wszystkiego wniosków, jednego życia nie starczy. Polska proza – podobnie. Polski reportaż – dzięki Ci panie Boże, że mamy tylko jednego takiego Kapuścińskiego – życia za mało, żeby a) przeczytać, b) pojąć, c) zachłysnąć się, d) wdrożyć.

Jest wśród nas, nad czym włos na czworo rozszczepiali bohaterowie omówionej książki, ogromnie dużo chamstwa. A tuż obok – wszystkie dziesięć ośmiotysięczników Himalajów poezji, prozy, reportażu. Tylko że Himalaje nie są dla wszystkich, wymagają hartu ducha, wieloletnich przygotowań i wyrzeczeń. A zapierające dech w płucach panoramy warte są każdej kropli potu.

Dr Roman Sabo-Walsh jest poetą, tłumaczem i eseistą, mieszkającym w Vancouver, BC.

Ryszard Kapuściński we wspomnieniu Marka Kusiby:

Ryszard Kapuściński – poeta reportażu

---

[1] Marek Kusiba: *Ryszard Kapuściński z daleka i z bliska*, Znak, Kraków 2018, s. 352.

[2] Tamże, s. 12.

[3] Tamże, s. 109.

[4] Tamże, s. 161.

[5] Tamże, s. 35.

[6] Tamże, s. 289-291.

Korespondencja Brzezińskiego i Nowaka

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Autorzy listów Jan Nowak-Jeziorański i Zbigniew Brzeziński to dwie polskie ikony ludzi polityki. Pokazana korespondencja jest czysto służbowa, uważna, skupiona na sprawach Polski i wokół niej.

Wielka troska o Polskę ujmuje i zjednuje czytelnika. Nie ma w tych listach fragmentów osobistych, prywatnych, są od czasu do czasu przekazywane pozdrowienia współmałżonkom. Jest zaproszenie od Nowaka na wakacje zimowe w domku w Alpach austriackich, na które Brzeziński zareagował entuzjastycznie. Dłuższe są wypowiedzi Nowaka, ogólnie jednak swoista powściągliwość tej korespondencji jest zrozumiała i jakby oczekiwana.

Archiwa Jana Nowaka-Jeziorańskiego za jego życia znalazły się w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich (przewoziła je Dobrosława Platt), zaś Zbigniew Brzeziński w 2003 roku, i kolejno w latach 2005-2009 swoje archiwa zdeponował w Bibliotece Kongresowej w Waszyngtonie.

Zarówno z Janem Nowakiem (1914-2005, urodzonym i zmarłym w Warszawie), jak i ze Zbigniewem Brzezińskim (1928-2017, urodzonym w Warszawie, zmarłym w Falls Church w USA) w 1991 roku przeprowadziłam wywiady do książki „Korzenie są polskie". Wcześniej, w 1982 roku, do książki „Dreams and Reality/ Kanada, Kanada" rozmawiałam w Montrealu z ojcem Zbigniewa. Tadeusz Brzeziński (herbu Trąby, syn Kazimierza – z zawodu sędziego) był jedną z najznakomitszych postaci Polonii kanadyjskiej. Urodzony w Złoczowie w 1896 roku, ukończył gimnazjum klasyczne w Przemyślu, studiował na uniwersytetach w Wiedniu, Hadze i we Lwowie. W latach 1918-1921 służył w wojsku polskim, brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. W 1921 rozpoczął służbę zagraniczną na placówkach konsularnych w Westfalii i Nadrenii, północnej Francji, Saksonii i Turyngii, na Ukrainie i w Kanadzie. Ostatnią placówką dyplomatyczną była Kanada, gdzie oficjalnie objął urząd konsula 1 listopada 1938 roku i był nim do lipca 1945, kiedy rząd Kanady cofnął uznanie dla

rządu polskiego w Londynie. Od 1952 roku dziesięć lat pełnił funkcję prezesa Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Był pierwszym Kanadyjczykiem polskiego pochodzenia w Montrealu, który w 1954 roku kandydował do Izby Gmin. Czynnie włączony był m.in. w powrót arrasów wawelskich i rękopisów Chopina do Polski, apelował do społeczności polonijnej o pomoc w odbudowie Zamku Królewskiego w Warszawie.

Pisząc o ojcu, przypomnę, że po matce, Leonii Brzezińskiej z domu Roman, Zbigniew był kuzynem Andrzeja Romana, znanego dziennikarza warszawskiego (syna brata Leonii, Tadeusza). Leonia Brzezińska (primo voto Żylińska) była córką Leona Romana (herbu Ślepowron).

Gdy Tadeusz Brzeziński objął urząd konsula w Montrealu, jego wtedy 10-letni syn Zbigniew był patriotycznie nastawionym chłopcem, jak sam powiedział, nadzwyczaj dumnym ze swego kraju. Kiedy w rok po przyjeździe z rodziną do Kanady wybuchła w Europie wojna, obserwował rozwój wydarzeń z ogromną uwagą, czytał dzienne depesze Polskiej Agencji Telegraficznej, które ojciec przynosił do domu ze swego biura. Powiedział kilku przyjaciołom, że chciałby pewnego dnia zostać prezydentem Polski. Zapamiętał zakończenie wojny. Uczniów wzięto ze szkół i maszerowali wzdłuż głównej ulicy w Montrealu. Wszyscy powiewali flagami, głównie amerykańskimi, brytyjskimi i sowieckimi. Pamięta, że w tej euforycznej radości czuł przede wszystkim smutek. Wiedział, że Polska była okupowana. Po studiach w Kanadzie zamierzał kontynuować studia w Wielkiej Brytanii, po których wróciłby do Kanady i starał się zrobić karierę jako dyplomata. Jednak w ostatniej chwili okazało się, że nie mając obywatelstwa kanadyjskiego, nie mógł skorzystać z uzyskanego stypendium. W rezultacie zdecydował się studiować w USA na Harvardzie. Otworzyły się przed nim wspaniałe możliwości, jakie oferowała ta uczelnia i w ogóle Stany Zjednoczone.

Jego żona Muszka, pochodzenia czeskiego (z domu Beneś), jest rzeźbiarką. Synowie są włączeni w świat dyplomacji (Marek od 2011 roku był ambasadorem w Szwecji), córka Mika Brzezinski jest dziennikarką, współprowadzi program telewizyjny stacji MSNBC Morning Joe. Jak stwierdził Jan Nowak-Jeziorański, Zbigniew Brzeziński, imponujący swoją niezwykle błyskotliwą inteligencją i darem wypowiedzi, był świetnym przykładem polskiego wybitnego intelektualisty i męża stanu.

Korespondencja Nowaka i Brzezińskiego obejmuje ponad 44 lata, a jej autorzy ogólnie zgadzają się w wielu sprawach. Obydwaj wiedzą np., jak ważną sprawą dla Polski było uznanie granicy na Odrze i Nysie. W 1964 roku Nowak pisze:

> *Jedyną realną drogą do poprawienia losu Polski jest stopniowa ewolucja systemu i erozja doktryny. Jedno i drugie może odbywać się tylko w warunkach określonych przez Ciebie jako „peaceful engagement”.*

Interesujący jest fragment listu Nowaka z 18 lipca 1968 roku, w którym pisze:

> *Wcisnąłem do ręki Griffitha (uważanego za eksperta od komunizmu – przyp. AZB) naprędce podyktowaną notatkę, której kopię załączam. Zdaje mi się, że wybiłem mu raz na zawsze z głowy „Polish traditional anti-semitism" oraz „Poland's lack of democratic tradition".*

Na co Brzeziński odpowiada:

> *Uważam, że Twoja notatka dla Griffitha była majstersztykiem i wzorem świadomości historycznej!*

Nowak czyta artykuły i książki Brzezińskiego, omawia je na antenie. Cieszy się wszystkimi wyróżnieniami i honorami pana Zbigniewa, pisząc:

> *Każdy Twój sukces jest dla mnie źródłem szczerej i prawdziwej satysfakcji.*

Jednocześnie martwi się atakami na Brzezińskiego i krytykowaniem go:

> *Jest rzeczą zdumiewającą, że żaden zachodni polityk nie jest w tej chwili atakowany w prasie komunistycznej w Polsce z taką zajadłością, jak Ty.*

W listach Nowaka raz po raz pojawia się też troska o istnienie Radia Wolna Europa (przeciwnikiem jego istnienia był np. senator James William Fulbright), na którą Brzeziński reaguje zawsze skutecznie. Obaj korespondenci od czasu do czasu polecają sobie osoby mające problem np. z amerykańską wizą wjazdową (m.in. Zygmunta Grossa). Brzeziński wykazuje zainteresowanie historią Polski, konkretnymi osobami, jak generał „Nil".

W jednym z wywiadów Jan Nowak-Jeziorański podkreślił:

> *Stany Zjednoczone pozwoliły mi przez wiele lat służyć mojemu krajowi na stanowisku kierownika Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Żadne inne mocarstwo nie zdobyło się na to, by zaofiarować ujarzmionym przez Stalina narodom radiostację nadającą od świtu do nocy, gdzie Polacy mieli pełną*

autonomię, możliwość mówienia o sprawach polskich z własnego, polskiego punktu widzenia. Polityka Stanów Zjednoczonych odegrała dużą rolę w procesie przemian w Polsce i w całym tym rejonie. Szczególnie mam tu na myśli tzw. politykę bata i marchewki, czyli z jednej strony sankcje, a z drugiej – perspektywy kredytów politycznie i ekonomicznie uwarunkowanych. Miało to dość znaczny wpływ na wydarzenia w Polsce po roku 1981. Bez tego zaangażowania Stanów Zjednoczonych w sprawy polskie prawdopodobnie wydarzenia po roku 1981 miałyby zupełnie inny przebieg. Jako dyrektor RWE miałem wielokrotnie ostre konflikty z moimi amerykańskimi partnerami, ale uprzytomniły mi, że z Amerykanami można prowadzić spór zachowując niezależność własnego stanowiska. Bo nigdy, nawet w chwilach, które bliskie były konfrontacji, nie usiłowano pozbyć się mnie dlatego, że reprezentowałem inny punkt widzenia i starałem się bronić polskich interesów.

Zastanawiające są fragmenty dotyczące Jerzego Giedroycia i paryskiej „Kultury". Nowak pisał w 1968 roku:

Mam wiele szczerego podziwu dla Giedroycia i jego miesięcznika. Wydawanie na emigracji przez blisko ćwierć wieku pisma, utrzymywanego na tak wysokim poziomie, ogłoszenie w tym czasie kilkuset książek, jest osiągnięciem zasługującym na najwyższy szacunek. Toteż usiłuję utrzymać z Giedroyciem możliwie najlepszą współpracę i stosunki, co nie zawsze jest łatwe. Ponieważ miesięcznik z trudem obecnie dociera do Polski – nadajemy specjalne audycje poświęcone obszernym streszczeniom i wyciągom z każdego numeru „Kultury". Nie mówiąc już o rozgłosie, jaki staramy się nadać każdej nowej pozycji wydawniczej Instytutu Kultury.

Cztery lata później,w 1972 roku, napisze zupełnie inaczej:

Załączam fragmenty wyjątkowo perfidnego artykułu Mieroszewskiego w „Kulturze" z okazji naszego 20-lecia oraz naszą odpowiedź w Na antenie. Przez wiele lat starałem się nie odpowiadać na ataki i złośliwości Giedroycia. Artykuł Mieroszewskiego, złośliwy w treści, a szkodliwy w intencjach, doprowadził nas do ostateczności i desperacji. Przypuszczam, że jesteś dobrze poinformowany, w jaki

sposób i przez kogo finansowana jest „Kultura”. Nieustanne kwestionowanie polskości i patriotyzmu naszego zespołu, dlatego że radio finansowane jest przez Amerykanów, jest w tym kontekście rzeczą absolutnie niemoralną.

Wyjaśnień na temat konfliktu z Giedroyciem, o którym pisze Nowak, udzielił mi Marek Walicki, pracownik Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa i sekcji polskiej Głosu Ameryki. Od 1973 – po likwidacji nowojorskiego oddziału Rozgłośni Polskiej RWE – jedyny korespondent nowojorski:

Prawda jest taka, że Komitet Wolnej Europy (KWE) był finansowy w znacznej mierze przez CIA, i „Kultura” czerpała fundusze z tego samego źródła co Radio Free Europe (a więc i ówczesny Głos Wolnej Polski). Nowak był nieformalnym opiniodawcą wniosków Giedroycia (sic!) o pomoc z Komitetu Wolnej Europy, i kopie tej tajnej korespondencji Giedroycia z Amerykanami Nowak zachował. Wiadomo na przykład, że Giedroyć osobiście otrzymywał od KWE 300 dol. miesięcznie, podczas gdy Nowak jako dyrektor otrzymywał (w pierwszym roku działalności radia) 310 dol. miesięcznie. Dotacja (KWE – a więc w drodze dedukcji: CIA) na działalność wydawniczą „Kultury” w latach 50. wynosiła rocznie 75 tys. dol., czyli niewiele mniej niż budżet ponad stuosobowego zespołu polskiego Wolnej Europy! Osobiście sądzę, że choć fundusze pochodziły z tego samego źródła, Giedroyć miał większą niezależność jako redaktor miesięcznika niż Nowak, który kierował radiem i nie krył, bo ukryć by się i tak nie dało, że radiostacja stworzona została i jest finansowana „przez Amerykanów”.

Z rekomendacji Brzezińskiego w 2000 roku uhonorowano Jana Nowaka-Jeziorańskiego Prezydenckim Medalem Wolności, najwyższym odznaczeniem cywilnym Stanów Zjednoczonych Ameryki nadawanym przez prezydenta. Jak pisze Brzeziński, on sam został odznaczony tym medalem w roku 1981, i wcześniej żaden Amerykanin polskiego pochodzenia go nie otrzymał. Można powiedzieć, że Prezydencki Medal Wolności nadał specjalne znaczenie ich przyjaźni.

Warto dodać, że Dobrosława Platt, autorka interesującego wstępu do tej korespondencji, wcześniej opracowała „Listy Jan Nowak, Jerzy Giedroyć 1952-1998” (Wrocław 2001) i dwujęzyczną monografię Jana Nowaka-Jeziorańskiego ze wstępem

ambasadora Jerzego Koźmińskiego „Polska droga do NATO. Listy, dokumentacje, publikacje” (Wrocław 2006).

Jan Nowak-Jeziorański i Zbigniew Brzeziński. Listy 1959-2003, PWN, Warszawa 2014 Wybór, wstęp, opracowanie Dobrosława Platt.

Tekst ukazał się [w:] Nowy Dziennik, Przegląd Polski, Nowy Jork, 24 listopada 2015

Powstanie Warszawskie i niezwykłe książki Barbary Wachowicz

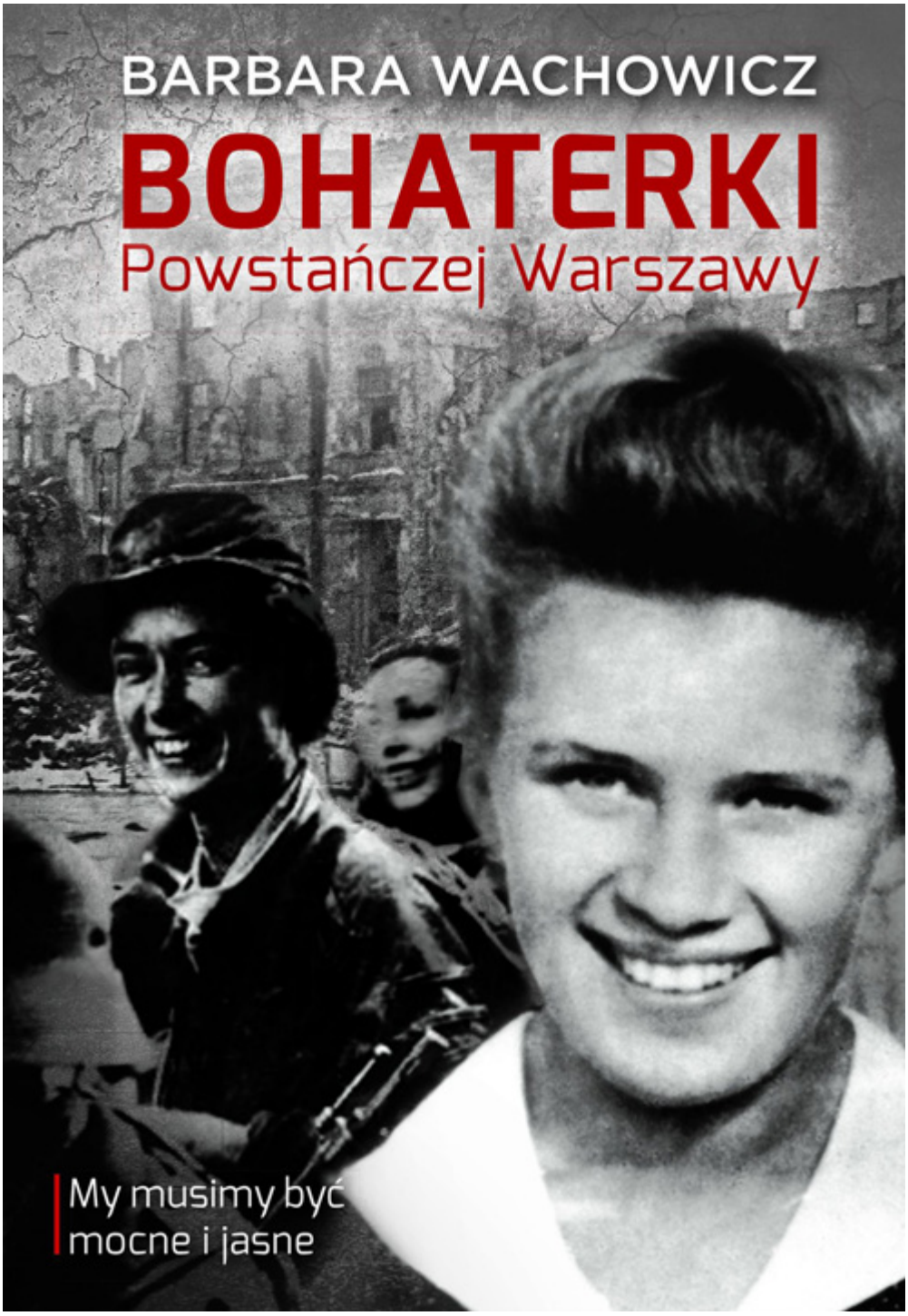

W czwartek 7 czerwca 2018 r. odeszła Barbara Wachowicz – piękny człowiek i poetka pióra. Pozostaną po niej jej książki, w których opowiadała o życiu, twórczości, miłościach i tajemnicach Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza, Żeromskiego, Kościuszki. Zajmowała się też postaciami polskiego harcerstwa. Była autorką scenariuszy filmowych i telewizyjnych, audycji radiowych, wystaw i widowisk scenicznych.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Barbara Wachowicz, autorka cyklu *Wierna rzeka harcerstwa,* raz po rW caz daje nam cenne książki o wielkich Polakach, jak *Wigilie Polskie. Adam Mickiewicz,* czy *Nazwę Cię Kościuszko! Szlakiem bitewnym Naczelnika w Ameryce*. Ostatnio po przepięknie wydanej przez Wyd. Świat Książki dwutomowej *Siedziby wielkich Polaków,* ukazała się kolejna książka Barbary Wachowicz na temat harcerzy Powstania Warszawskiego. W 2014 r. ukazał się 700 stronicowy unikatowy tom *Bohaterki Powstańczej Warszawy* (Wyd. Muza) poświęcony m.in. Krystynie Krahelskiej, Krystynie Wańkowiczównie, Dorocie Łempickiej, Barbarze Groholskiej, Alinie Janowskiej, Danucie Szaflarskiej. Czytamy:

> *Było ich wiele. Wspaniałe Dziewczęta walczącej, powstańczej Warszawy – symbole największej ofiarności, poświęcenia i męstwa. Sanitariuszki, łączniczki, przewodniczki. Ratowały rannych i trwały przy nich, wiedząc, że zginą, przenosiły pod obstrzałem rozkazy i meldunki, budowały barykady, transportowały broń, otaczały opieką ludność cywilną, zdobywały żywność, przeprowadzały kanałami.*

Spotkania z Barbarą Wachowicz są przeżyciem, które zapada mocno w serce. Jej spotkania wywołują poczucie bycia częścią pięknej wspólnoty. Jest zawsze starannie przygotowana, operująca piękną elegancką polszczyzną. Zadziwia. Wstrzymując oddech poddajemy się magii jej słów, tematów, sposobu ich podania. Mająca unikalny talent oratorski, obdarzona tytułem „Pisarki losu polskiego”, dumnie i pięknie promuje przywiązanie do tradycji, do historii, wskazuje bohaterów. Jej książki są starannie udokumentowane, mają podane źródła; dla wielu cytatów są warte każdej ceny.

Najnowsza książka Barbary Wachowicz jest zatytułowana *Ułan Batalionu „Zośka”. Gawęda o Janku Rodowiczu „Anodzie” (*Rytm 2015).

Porucznik Jan Rodowicz ps. „Anoda” był postacią niezwykłą: harcerz, żołnierz Szarych Szeregów i AK oraz Delegatury Sił Zbrojnych. Jego 26-letni życiorys jest bohaterski, dramatyczny, okrutny, przejmujący i bolesny. Urodził się 7 marca 1923 r. w Warszawie, zamordowany został 7 stycznia 1949 r. podczas śledztwa w siedzibie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na Koszykowej 6.

Był synem profesora Politechniki Warszawskiej, Kazimierza Rodowicza i Zofii z Bortnowskich, siostry generała Władysława Bortnowskiego. Uczęszczał do prywatnej Szkoły Powszechnej Towarzystwa Ziemi Mazowieckiej, wstąpił do 21. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej. Był uczniem liceum im. S. Batorego, wiosną 1939 roku zdał tzw. małą maturę. Gdy wybucha wojna ma 16 lat.

Od października włączył się w konspirację, został członkiem Szarych Szeregów. Był już wcześniej zaprzyjaźniony m.in. z Tadeuszem Zawadzkim, Alkiem Dawidowskim, Jankiem Bytnarem. (Później zostaną jednymi z bohaterów słynnej książki Aleksandra Kamińskiego *Kamienie na szaniec.)*

Janek uczy się na tajnych kompletach gimnazjum S. Batorego i w 1941 uzyskuje maturę. Pracuje w różnych miejscach kontynuując działalność podziemną.

Barbara Wachowicz przytacza słowa matki Janka, Pani Zofii Rodowicz:

> *Braliśmy czynny udział w pracach syna: przyjmowanie paczek z bronią, przenoszenie do piwnicy, kolportaż prasy. Mieszkanie było używane jako lokal konspiracyjny na spotkania, szkolenia, komplety maturalne, wykłady podchorążówki, skrzynie z bronią w piwnicy, schowek z aparatem radiowym i bronią w podłodze w pokoju Janka. Odbywały się całonocne ćwiczenia podchorążówki, czyszczenie i przerzucanie broni.*

W 1943 r. Janek bierze udział w wielu akcjach, m.in. w słynnej akcji pod Arsenałem odbijając z rąk Gestapo Janka Bytnara ”Rudego”; dowodząc sekcją „Butelki” wywiózł z pola walki ciężko rannego Alka Dawidowskiego. I Alek, i „Rudy”, jak przypomina Autorka książki, żyli jeszcze… 4 dni. Zmarli z odniesionych ran. Za akcję pod Arsenalem Janek Rodowicz według rozkazu gen. Grota Roweckiego otrzymał Krzyż Walecznych po raz pierwszy.

W czasie Powstania Warszawskiego walczył początkowo na Woli w kompanii „Rudy” Batalionu „Zośka”, który wchodził w skład zgrupowania KG AK ppłk Jana Mazurkiewicza, ps. „Radosław”. Dziewiątego dnia po wybuchu Powstania zostaje ciężko ranny w lewe płuco, leczony jest w szpitalach na Starym Mieście: im Jana Bożego przy ul. Bonifraterskiej i kolejno w batalionowym przy ul. Miodowej.

Podczas ewakuacji Starówki wraz z grupą rannych żołnierzy Batalionu „Zośka” 31 sierpnia przechodzi kanałami do Śródmieścia-Północ. Jest ponownie w szpitalu przy ulicy Hożej, ale 8 września przerywa leczenie i dołącza do swojego oddziału walczącego na Górnym Czerniakowie. 15 września zostaje ponownie ranny w ramię i łopatkę z potrzaskaniem kości. W drodze do szpitala zostaje trafiony odłamkami w rękę. W nocy z 17 na 18 września nieprzytomnego Janka Rodowicza ewakuują pontonem przez Wisłę na Pragę żołnierze 3. Pułku Piechoty z 1 Armii WP gen. Zygmunta Berlinga.

Leczony jest w szpitalu w Otwocku. Z bezwładem ręki będzie walczyć do końca życia. Na początku 1945 roku dostaje się do rodziny w Milanówku i nawiązuje kontakt z kolegami, którzy przeżyli Powstanie. Zostaje dowódcą oddziału dyspozycyjnego szefa Obszaru Centralnego Delegatury Sił Zbrojnych płk. J. Mazurkiewicza ps. „Radosław”. Prowadzi akcje propagandowe skierowane przeciwko rządom komunistycznym, rozpoznaje urzędy bezpieczeństwa publicznego, więzienia, ochrania odprawy dowództwa Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj. W sierpniu 1945 r. po rozwiązaniu DSZ ukrywa część broni i przenosi się do rodziny do Warszawy. Wraz z innymi byłymi żołnierzami Batalionu „Zośka” zajmuje się ekshumacją i pogrzebami na Cmentarzu Powązkowskim poległych kolegów, tworzy kwatery powstańcze. Pracując w kancelarii Komisji Likwidacyjnej sporządza wraz z kolegami listy ewidencji poległych i zaginionych żołnierzy Batalionu. Zachęcał kolegów do zabezpieczenia materiałów historycznych dotyczących oddziału oraz pisania wspomnień. Był inicjatorem utworzenia „Archiwum Baonu Zośka”.

Podejmuje studia na wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej, w 1947 roku przenosi się na Wydział Architektury.

…Czyżby nadszedł okres spokoju?…

***

Jak pisze Barbara Wachowicz, 24 grudnia 1948 roku matka Janka

> *wzięła w dłoń opłatek, myśląc o tych, które kładą ów „boży chleb” ofiarny na pustych talerzach. Pomyślała – dzięki Bogu, ocalało mi chociaż jedno dziecko. I wtedy zaterkotał wysoko dzwonek. Myśleli, że ktoś bliski, samotny.*

…A to przyszli po Janka. Aresztowano go przy stole wigilijnym.

Podczas brutalnego śledztwa w siedzibie MBP przy ul. Koszykowej zmarł 7 stycznia 1949 roku. Według prokuratury i UB przyczyną jego śmierci był skok samobójczy z okna IV piętra budynku. Jak ustalono później, najprawdopodobniej został z niego wyrzucony, lub został zamordowany w innych okolicznościach.

12 stycznia 1949 r. jego ciało zostało anonimowo pogrzebane na Cmentarzu Powązkowskim. Rodziców powiadomiono o jego śmierci dopiero 1 marca.

16 marca powiadomiona przez grabarza, który wskazał miejsce pochówku, rodzina przeprowadziła ekshumację i trumnę z Jankiem Rodowiczem „Anodą" umieszczono w rodzinnym grobie na Starych Powązkach. Jego symboliczny grób znajduje się także w kwaterze „Na Łączce" Cmentarza Wojskowego w Warszawie (pomordowanych przez organy bezpieczeństwa publicznego w latach 1945-1956).

W czasie przekładania zwłok do trumny, jak później poinformowano matkę, nie stwierdzono oznak połamanych nóg, wylewów, uszkodzeń twarzy i rąk. Dostrzeżono za uchem otworek z zakrzepłą krwią… według lekarza – to był strzał w tył głowy.

To nie było samobójstwo – to było zabójstwo. Oprawcy nie ponieśli żadnej kary.

Co z innymi?… Np. przywoływany wcześniej "Radosław", ppłk. Jan Mazurkiewicz, został aresztowany 4 lutego 1949 roku. Przywołuję Autorkę książki: „Katowano go w śledztwie, wybito zęby. Pięć lat leżał na betonie, mając kilka garści zgniłej słomy. W listopadzie 1953 roku skazany został na dożywotnie więzienie". Na wolność wyszedł w wyniku amnestii w 1956 roku, rok później został zrehabilitowany.

Barbara Wachowicz cytuje wstrząsający dokument – (odnaleziony w papierach Bieruta) sporządzony 2 czerwca 1947 r. w Moskwie. Pokazuje, jak zaplanowano zniszczenie ludzi autorytetu i zaufania, kultury, nauki, gospodarki.

Kilka fragmentów:

10. *Do wszystkich organów władzy i większości zakładów wprowadzić ludzi współpracujących z naszymi służbami specjalnymi (bez wiedzy władz krajowych).*

34. *Szczególnej obserwacji poddać Kościół i tak ukierunkować działalność oświatowo-wychowawczą, aby wzbudzić powszechny wstręt do tej instytucji. Objąć baczną uwagą i kontrolą kościelne drukarnie, biblioteki, archiwa, kazania, kolędowania, treści nauk religijnych oraz obrzędy pogrzebowe.*

35. *W szkolnictwie podstawowym, zawodowym, a w szczególności w szkołach średnich i wyższych doprowadzić do usunięcia nauczycieli cieszących się powszechnym autorytetem i uznaniem. Na ich miejsce wprowadzić ludzi mianowanych (...)*

39. *Zadbać o budowę i rozbudowę mostów, dróg i licznych połączeń, aby w razie konieczności interwencji wojskowej można było szybko i z każdej strony dotrzeć do punktu oporu lub koncentracji sił opozycji (...).*

40. *Pilnować, aby aresztować przeciwników politycznych. Rozpracować przeciwników z autorytetem wśród krajowców. Likwidować w drodze tzw. zajść sytuacyjnych przypadkowych, zanim staną się głośnymi, lub aresztować ich wcześniej za wykroczenia kryminalne.*

41. *Nie dopuszczać do rehabilitacji osób skazanych w procesach politycznych. W razie konieczności rehabilitacji, można ją przeprowadzić tylko pod warunkiem, że sprawa będzie uznana za pomyłkę sądową, bez wszczynania dochodzenia i stawiania przed sądem winnych pomyłki (sędziów, świadków, oskarżycieli, informatorów).*

***

Janek Rodowicz marzył o udziale w odbudowie zniszczonej Warszawy. Byłby zapewne znakomitym architektem. Tablica upamiętniająca Rodowicza znajduje się w

gmachu Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej oraz przy Ministerstwie Sprawiedliwości.

Jest patronem warszawskich Drużyn Harcerskich „Czata” i „Las”, szczepu hufca Poznań „Wilda”. Jego imieniem są nazwane ulice na warszawskim Ursynowie i na osiedlu Teofilów w Łodzi. Od 2011 roku Muzeum Powstania Warszawskiego ustanowiło nagrodę im. Jana Rodowicza „Anody”. W 1981 roku o „Anodzie” mówiła w I programie Polskiego Radia Barbara Wachowicz z Andrzejem Matulem. Powstały filmy dokumentalne: *Dlaczego*, (1990). *Ułan Batalionu Zośka. Jan Rodowicz Anoda* (1994), spektakl telewizyjny *Pseudonim Anoda* (2007).

W 1991 roku Barbara Wachowicz zorganizowała wystawę *„Kamyk na szańcu – opowieść o Druhu Aleksandrze Kamińskim i Jego Bohaterach – Harcerzach Szarych Szeregów*”, której duża sekwencja poświęcona jest „Anodzie”. Wśród pokazanych pamiątek jest modlitewnik Janka z dedykacją Matki, własnoręcznie wypełniona ankieta wyliczająca akcje bojowe i rany, pismo z Urzędu Bezpieczeństwa, akt zgonu, indeksy i legitymacje studenckie. Także opaska powstańcza. Wystawa prezentowana w wielu miastach, w całej niemal Polsce, cieszy się ogromnym zainteresowaniem. W Warszawie od maja do sierpnia 2002 odwiedziło ją 64 tysiące ludzi.

W archiwum „Anody” zachowała się „Modlitwa” przepisana jego ręką, zacytowana w książce Barbary Wachowicz. Jej początek:

> *Panie Boże Wszechmogący, Daj nam siły i moc wytrwania w walce o Polskę, której poświęcamy całe nasze życie.*

Barbara Wachowicz: Bohaterki Powstańczej Warszawy, wyd. Muza, 2014 r.

Tekst ukazał się [w:] Nowy Dziennik, Przegląd Polski, Nowy Jork, 8 października 2015 r.

Artykuł Barbary Wachowicz o Melchiorze Wańkowiczu i Aleksandrze Ziółkowskiej-Boehm:

Wytrwać – za siebie i za naród

Florian Śmieja

Tymon Terlecki, 1965 r., fot. Aleksander Janta, arch. Niny Taylor-Terleckiej.

Wszyscy, którzy pamiętamy Tymona Terleckiego (1905-2000), cieszymy się, że ukazała się jego książka zatytułowana przez edytorów „Emigracja naszego czasu”. Jest to wybór publicystyki skierowanej do emigracji walczącej w 1945 roku, do tych Polaków, którzy nie akceptowali porządku pojałtańskiego i odmówili powrotu do PRL-u zyskując epitety „niezłomnych”, czy „nieugiętych” względnie „pachołków imperializmu”.

Jerzy Święch, tego redaktora „Polski Walczącej” i dwukrotnego prezesa Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Londynie, nazwał ideologiem polskiej emigracji i wizjonerem jej przyszłych dróg. Wespół z Niną Taylor, drugą żoną Terleckiego, wydał celniejsze teksty jego publicystyki, których konspekt pod tym samym tytułem leżał gotowy od 1947 roku.

Artykuły prezentowane w książce zgrupowane są pod nagłówkami: „Emigracja polska wczoraj i dziś”, „Emigracja i kraj”, „Kultura i literatura”, „W kręgu NiDu”. W aneksie znajdziemy m.in. tekst uchwały Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w sprawie niedrukowania w PRL-u.

Terlecki już w 1945 roku apelował do Polaków, którzy znaleźli się na Zachodzie o powzięcie wielkiej decyzji. Był to czas, kiedy wydawało się, że po klęsce Niemiec zacznie się kolejna wojna, wojna o kulturę. Terlecki radzi:

> *Heroizm emigracji polskiej 1945 roku jest prosty: wytrwać w kulturze europejskiej na przekór jej samej. Wytrwać – za siebie i za naród.*

Sygnalizuje tytaniczność czekających zmagań wskazując – jak to czynił później Zbigniew Herbert w poezji – na przymus wierności.

> *Jeśliby kultura europejska miała nie wytrzymać nadchodzącej próby, paść w tym kataklizmie – musimy być przy niej, aby jej dać rozgrzeszenie za najcięższą winę, jaką na siebie wzięła.*

Tą winą było wydanie Polski komunizmowi, przyzwolenie na „mord cywilizacyjny na Polsce”. W odpowiedzi zaś na pokusę tych naszych rodaków, którzy roztaczali ułudną perspektywę możliwości działania w potężnym obozie rozciągającym się od Łaby do Władywostoku, Terlecki wołał:

> *Musimy natężać polskość, polskość wiązać z europejskością.*

Nazwisko Terleckiego łączymy często z uchwałą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z 1947 roku, by pisarze żyjący poza Polską nie ogłaszali swoich utworów w kraju pozbawionym wolności słowa. Aczkolwiek nie był on jej inicjatorem, to

złożył pod nią swój podpis i w artykułach jej bronił:

> *Zdawaliśmy sobie wyraźnie sprawę ze straszliwej ceny, jaką każdemu z nas przyjdzie zapłacić, z ogromu wyrzeczenia osobistego, z ciężaru nienawiści i zniesławienia, który trzeba będzie dźwignąć.*
>
> *Podjęliśmy to z całą świadomością. Doskonała pisarka, która przez łagry sowieckie przeniosła nieskażoną prawość ludzką i pisarską, powiedziała wtedy z gorzkim męstwem: „Jesteśmy pisarzami bez czytelników, ale tak trzeba. To nie jest na zawsze”.*

„Tak trzeba. I to nie jest na zawsze” – konkludował Terlecki

Teraz mamy kompendium jego wypowiedzi i teksty dokumentów, słów gorących i euforycznych deklaracji. Terlecki, znany nam jako człowiek teatru i wyśmienity jego znawca i krytyk, przez pierwsze dziesięciolecie emigracji zapisał pamiętną idealistyczną kartę stając się gorącym orędownikiem politycznej emigracji dźwigającej moralną odpowiedzialność za Polskę w opinii świata, emigracji, która nie miała doczekać momentu powrotu, choć nigdy zeń nie zrezygnowała.

Tymon Terlecki przy pracy, Londyn 1957, fot. arch. Niny Taylor-Terleckiej.

Za udostępnienie archiwalnych fotografii Tymona Terleckiego dziękujemy pani Ninie Taylor-Terleckiej.

Redakcja

Tymon Terlecki, Emigracja naszego czasu. Wyd. UMCS, Lublin 2003 r.

Więcej niż monografia. „Teatr spełnionych nadziei” Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

Marta Tomczyk-Maryon

Znając poprzednie teksty Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, spodziewałam się, że *Teatr spełnionych nadziei* będzie publikacją rzetelną, naukową i napisaną piękną polszczyzną. Oczekiwałam naszpikowanej nazwiskami i datami monografii, z którą… przyjdzie mi się mierzyć kilka tygodni. Przyznaję, że ogarnął mnie nawet lekki smutek, bo, gdy dotarł do mnie *Teatr spełnionych nadziei,* czytałam właśnie emocjonujący kryminał i wyglądało na to, że będę musiała go odłożyć, nie poznając odpowiedzi na pytanie „Kto zabił?”. A jednak, ku mojemu zaskoczeniu, powieść kryminalna wylądowała na najniższej półce nocnej szafki. Na samej górze znalazł się *Teatr spełnionych nadziei.* Książka o polskim teatrze w Kanadzie okazała się bardziej wciągająca; ponad 500 stron pochłonęłam w ciągu tygodnia.

Maria Nowotarska i Kazimierz Braun.

Teatr spełnionych nadziei jest rzetelną monografią naukową, która jest źródłem wiedzy dla teatrologów i tych wszystkich, którzy chcieliby poznać historię polskiego teatru w Kanadzie. Znajdą oni tu informacje na temat wszystkich spektakli, które powstawały w latach 1991-2014 (ponad 100). Ta ogromna ilość faktów mogłaby stać się przytłaczająca, gdyby autorka oparła się tylko na dokumentach i recenzjach. Na szczęście dla czytelników, Joanna Sokołowska nie spędziła czasu wyłącznie w bibliotekach i archiwach. Niepowtarzalną wartość książce nadaje fakt, że autorka była „w centrum wydarzeń", mieszkała w Kanadzie (obecnie w USA), znała twórców Salonu Muzyki, Poezji i Teatru oraz przeprowadziła z nimi rozmowy, które stały się podstawą książki. Była również współautorką scenariusza spektaklu *Dobry wieczór, Monsieur Chopin* z roku 2010.

Opisywanie życia teatralnego poprzez wypowiedzi artystów, którzy je tworzyli jest bez wątpienia najciekawszym sposobem zaznajamiania czytelników z tym tematem.

Układ książki jest przemyślany, dzięki czemu ogromny materiał faktograficzny został podany w sposób przejrzysty i interesujący. W dwóch pierwszych rozdziałach poznajemy krakowskie korzenie twórców teatru oraz ich niełatwe początki na emigracji w Kanadzie. W rozdziałach od trzeciego do siódmego zaznajamiamy się z uporządkowanym tematycznie repertuarem teatralnym: spektaklami poetyckimi, muzycznymi, historycznymi, kabaretowymi oraz portretami emigrantek. W rozdziale ósmym poznajemy artystów związanych z Salonem Muzyki, Poezji i Teatru. W rozdziałach dziewiątym i dziesiątym autorka dopełnia portretu rodziny Pilitowskich, w ostatnich dwóch przedstawia teatralne wędrówki teatru i przedstawienia ujęte pod wspólną nazwą „Sentymentalne wędrówki". Książka zawiera również chronologiczny wykaz dorobku repertuarowego, nagród przyznanych Salonowi Marii Nowotarskiej, indeks nazwisk i bibliografię. Autorka zadbała o ładną szatę graficzną oraz sporą ilość fotografii, które w tego rodzaju publikacji są ważnym elementem.

Autorka ksiażki „Teatr spełnionych nadziei", Joanna Sokołowska-Gwizdka po jednym

z wieczorów autorskich, w Wojewódzkiej Bibliotece im. Marszałka J. Piłsudskiego w Łodzi, fot. Andrzej Sokołowski..
Joanna Sokołowska-Gwizdka wyznała we wstępie, że pisała *Teatr spełnionych nadziei* dłużej niż przewidywała, dokładnie od roku 2005 do 2013. Uważam, że książka zyskała na tym. Dzisiaj w dobie szybkiej produkcji – niestety również w dziedzinie literatury – zapomina się o tym, że rzeczy wartościowe wymagają czasu i przemyślenia. *Teatr spełnionych nadziei* miał czas, aby dojrzeć.

Joanna Sokołowska-Gwizdka opisuje wielkie i unikatowe przedsięwzięcie polskiego teatru emigracyjnego w Toronto. Jego skala zaskakuje i imponuje. Jako emigrantka, działająca i obserwująca współczesne życie Polonii w Norwegii, mogę w pełni docenić dokonania Marii Nowotarskiej i wspierających ją osób. Chylę czoła przed tym, co udało się osiągnąć w Kanadzie w ciągu opisywanych 23 lat. Niewątpliwie, gdyby nie wybitna osobowość i nieprawdopodobna energia Marii Nowotarskiej nie byłoby polskiego teatru w Toronto.

Autorka nakreśliła portret wybitnej aktorki i człowieka, który w dużej mierze opiera się na wypowiedziach samej Marii Nowotarskiej. Portret to bardzo piękny, bo też i postać niezwykła. Wybitna aktorka, która w szczytowym okresie kariery zdecydowała się wyjechać do Kanady, aby pomóc swojej córce w wychowaniu dzieci. Jej kariera mogła się zakończyć na roli szczęśliwej babci. Tak się jednak nie stało, bo potrafiła w trudnej emigracyjnej rzeczywistości, stworzyć coś niezwykłego. Nie mając żadnego wsparcia i zaplecza finansowego powołała do życia polski teatr w Kanadzie. Spełniła się jako aktorka i reżyser (zdolności reżyserskie odkryła na emigracji). Pozwoliła także zrealizować się wielu polskim artystom przebywającym w Kanadzie, którzy po wyjeździe z Polski musieli zapomnieć o ambicjach i podjąć pracę w innych zawodach. Zaspokoiła także największą tęsknotę Polaków mieszkających na obczyźnie, którą rozumieją tylko ci, którzy wyjechali z Polski. To tęsknota za polską mową i kulturą. Imponująca jest ilość i różnorodność przygotowanych przez Marię Nowotarską spektakli. Były to przedstawienia poetyckie przybliżające twórczość najwybitniejszych polskich poetów, patriotyczne oraz portrety ważnych postaci, np. Heleny Modrzejewskiej i Marii Curie-Skłodowskiej. W programie Salonu Poezji, Muzyki i Teatru były również przedstawienia rozrywkowe, muzyczne i kabaretowe. Te ostatnie pozwoliły przyciągnąć do kanadyjskiego teatru szeroką, zróżnicowaną pod względem wiekowym, zawodowym i wyrobienia teatralnego publiczność. Salon

Poezji, Muzyki i Teatru spełnił nie tylko ważną rolę kulturową, ale również społeczną. Okazał się czynnikiem/miejscem jednoczącym środowisko kanadyjskiej Polonii.

To wielkie dzieło życia Marii Nowotarskiej – a także wspierającej ją rodziny, przede wszystkim męża Jerzego Pilitowskiego oraz wielu współpracujących z nią artystów - zostało uwiecznione w książce, która jest czymś znacznie więcej niż monografią.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny. Novae Res, 2016.

Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych. Dostępny jest też e-book.

Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę.

http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/

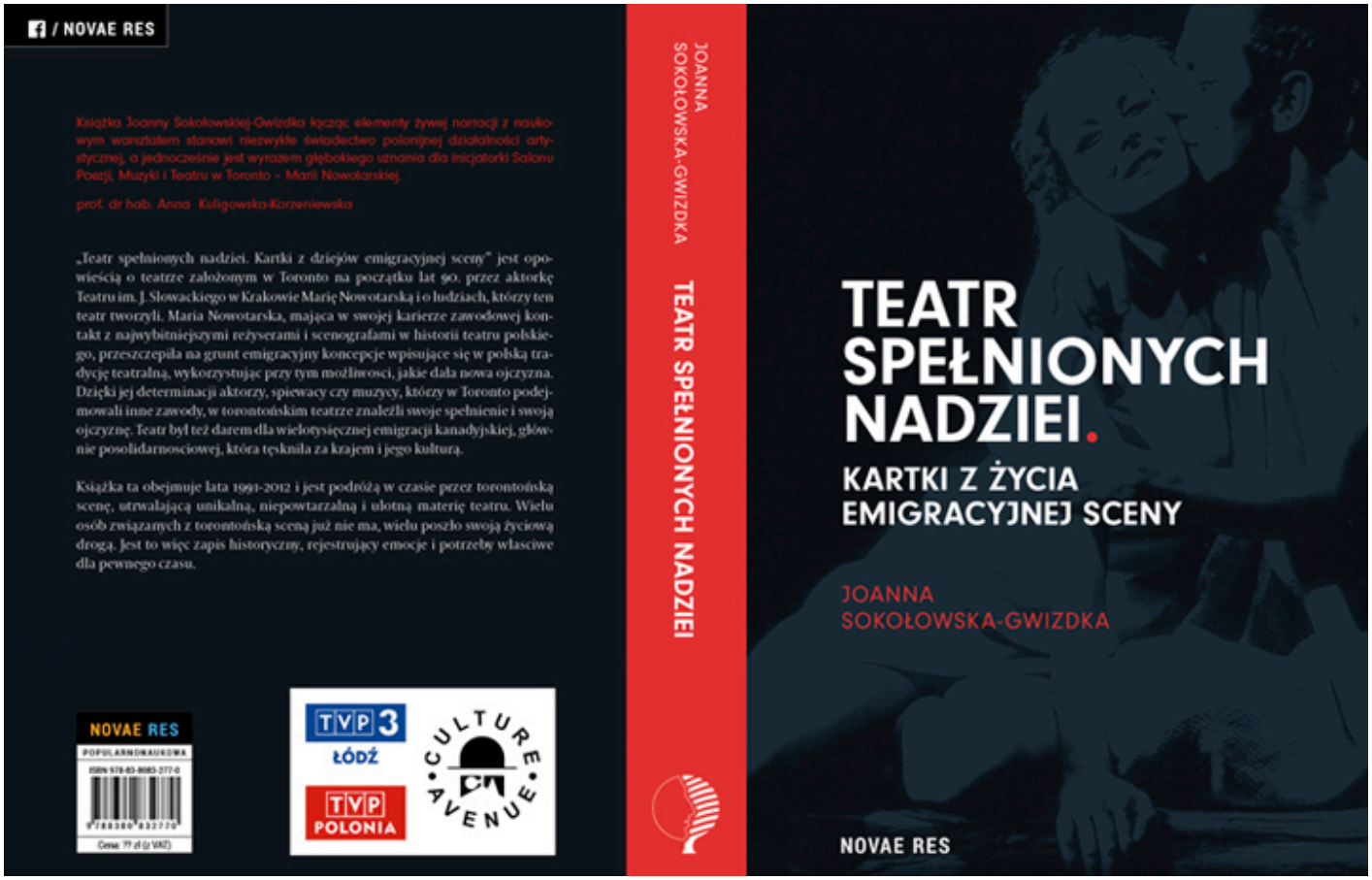

Meandry miłości. Problematyka powieści Zofii Romanowiczowej „Sono felice”.

Włodzimierz Wójcik

Florianowi Śmieji – profesorowi iberystyki

i poecie – z wyrazami przyjaźni…

Zofia i Kazimierz Romanowiczowie w swoim ówczesnym paryskim mieszkaniu, przy rue Debelleyme, wrzesień, 1998 r, fot. Kubik.

I

Powieść *Sono felice* została ogłoszona drukiem w roku 1977. Wcześniej ukazały się następujące utwory prozatorskie Romanowiczowej: *Baśka i Barbara* (1956), *Przejście przez Morze Czerwone* (1960), *Słońce dziesięciu linii* (1963), *Szklana kula* (1964), *Próby i zamiary* (1965), *Łagodne oko błękitu* (1968), *Groby Napoleona* (1972). Później w Bibliotece „Kultury" wydała *Skrytki* (1970) oraz *Na wyspie* (1984). Do tego dochodziły artykuły oraz przekłady poezji prowansalskiej. Wreszcie pisarka wydała drukiem kolejną – chyba już ostatnią – powieść *Ruchome schody* (1995).

Tak więc przywołana powieść jest dziełem pisarki o wieloletnim doświadczeniu twórczym. Jej dotychczasowe utwory powstawały i ukazywały się w druku w określonym rytmie, ale rytmie niespiesznym, co świadczy o jej doskonale

uformowanym warsztacie.

Akcja powieści toczy się kilkanaście lat po zakończeniu drugiej wojny światowej w Paryżu i w jego najbliższych okolicach. Rzecz przebiega, podobnie jak w klasycznym dramacie, w czasie krótszym, niż jedna doba. Od południa jednego dnia do piątej rano dnia następnego. Treść jest dość banalna i schematyczna. Kobieta wychodzi niespodziewanie z domu nie powiadamiając będącego w pracy męża. Wywołana przez telefon spędza kilka godzin ze starym przyjacielem, który – po latach niewidzenia – z Rzymu „wpadł" do stolicy Francji, aby zadać jej jakieś ważne, osobiste pytanie. Nad ranem – po kolacji w okolicach Notre Dame i drinkach z tańcami w jakiejś piwniczce – gość odlatuje do Włoch, kobieta wraca do domu. Zazdrosny mąż – jak się można domyślić – zabija ją kulą z Waltera.

Nic szczególnego, a jednak.

To, co najważniejsze mieści się w warstwie fabuły. W czasie przygotowań bohaterki Teresy do spotkania, i w czasie spotkania, w warstwie retrospektywnej dokonuje się poniekąd rekonstrukcja swoistej taśmy filmowej, porozrywanej, ale i sklejanej na nowo wedle chronologicznego porządku. Jak tedy wygląda ten ciąg fabularny?

Zofia Romanowiczowa, fot. archiwalna.

Oto kilka zdań na ten temat. Kilkunastoletnia Polka wychodzi z niemieckiego łagru w Bawarii. Przez pewien czas – podobnie jak wielu innych *dipisów* – pozostaje w okolicy w jakiejś willi zaanektowanej Hrabiny. Jest to faza pytań. Co dalej? Dokąd się udać po światowym kataklizmie, po nazizmie, po „czasach pogardy”? Na alpejskiej łące, na której wypoczywa, poznaje nieznajomego człowieka o nieustalonej narodowości. Dopiero później – po pewnych przekomarzaniach – dowiaduje się, że jest Polakiem, byłym jeńcem. Dziewczyna przypadkowo uzyskuje wiadomość, że we Włoszech, w polskich środowiskach wojskowych ma szansę zrobić maturę. Wiedziona głodem wiedzy po koszmarze łagru, udaje się na Południe. W środowiskach polonijnych poznaje Szymona, polskiego korespondenta wojennego. Ten, człowiek w sile wieku, niegdyś edukowany w Paryżu, zabiera ją na „reporterskie wypady” do okupowanych przez aliantów Niemiec widząc u niej pewne zadatki na pisarkę. Kupuje jej nawet w prezencie maszynę do pisania. Między nimi następuje bardzo delikatna zażyłość, którą można nazwać subtelną grą uczuć. Szymon kieruje

dziewczynę do zakonnej szkoły średniej. Po zdaniu przez nią matury skłania ją do podjęcia studiów na Sorbonie, w Paryżu opromienionym legendą Ronsarda i Kochanowskiego. Ułatwia jej ten krok na miarę swoich możliwości. Z uczuciem pewnego odsunięcia się od niej Szymona, na nowym miejscu życia, dziewczyna poznaje topografię wymarzonego miasta jednocześnie studiując i dorywczo pracując. Poznaje mężczyzn (Miklosz), po pewnym czasie wychodzi za mąż za Karola, który ją w stolicy Francji odnalazł.

Ciąg fabularny powieści podszyty jest grozą okrutnej HISTORII, znaczonej nazizmem, działaniami zbrojnymi, eksterminacja różnych narodowości. Jednak w głównym planie ta okrutna historia występuje jedynie w kształcie aluzji; jest swoistym – żeby użyć terminu Zofii Nałkowskiej – „widzeniem dalekim". Romanowiczową interesuje jednak głównie „widzenie bliskie". Pisarka skupia uwagę na poszczególnych osobowościach, obserwuje struktury osobowe tych, których poraził nazizm, totalitaryzm, których naznaczyły „czasy pogardy".

II

Sono felice to powieść nie o wielkiej historii, ale o relacjach – w wielu przypadkach intymnych – w tym przypadku pomiędzy Teresą a jej partnerami: Szymonem, Karolem i Mikloszem. Ideą przewodnią utworu jest poszukiwanie szczęścia przez dziewczynę złaknioną ciepła, delikatności, intymnego bezpieczeństwa. Ta sprawa misternie inkrustuje tok narracji w postaci pojawiającego się zwrotu: *sono felice*, czyli „jestem szczęśliwa", zwrotu, który w końcu powieści odgrywa kluczową rolę.

Związki między Teresą a Szymonem cechuje delikatna opiekuńczość, niemal rodzicielska, ale opiekuńczość nie pozbawiona „podszewki" erotycznej. Sygnalizuje to dbałość o zapewnienie wygłodzonej więźniarce dostatniego, niekiedy luksusowego życia, a nade wszystko bezustanne zabiegi zmierzającego do jej intelektualnego, duchowego rozwoju. Szymon, mistrz narracji reportażowej, doświadczony dokumentalista, mówi:

> *Nie wiem jak tam z twoim pisaniem. Nazwiska sobie chyba nie wyrobiłaś, doszłyby mnie słuchy. Ale masz czas. […] Kiedyś przynaglałem cię, prawda, ale to było po*

to, by cię ustawić do startu, byś uwierzyła, że jeśli zechcesz, potrafisz. Jesteś wciąż młoda, wciąż masz czas, nic się nie pali. Tylko na bycie szczęśliwym nie ma chwili do stracenia. Jeszcze moment i może być za późno. [SF 102][1]

[…] patrz – przypatruj się, bierz, owszem, udział, wypróbowuj nawet na sobie, ale powiedz sobie raz na zawsze: cokolwiek się dzieje, ty obserwujesz do krajobrazów. (…) Trzymaj się wyłącznie Pegaza, gdyż upadki z Pegaza są bardziej od innych bolesne. Ale ty potrafisz utrzymać się w siodle. Ty możesz. Ja ci to przepowiadam, ja to w tobie czuję. (…) Ja jestem świadek. Nie muszę aż trawić, muszę tak patrzeć by widzieć. A co zobaczę, zaraz opowiedzieć dla tych, którzy nie widzą, chwycić to dla nich na gorąco, w trakcie, z najmniejszą możliwie przeróbką. (…) Ja świadczę, rejestruję, nagrywam. Może tacy jak ja są po to, by takim jak ty zbierać budulec? [SF 104]

III

Najbardziej skomplikowana, pogmatwana, meandryczna okazuje się relacja pomiędzy Teresą a Karolem. Historia ta została oparta na swoistej… nie „komedii", ale właśnie „tragedii pomyłek". Skończyła się też – niestety – prawdziwą tragedią. Poznała go podczas odpoczynku na alpejskiej łące w szczególnym stanie ducha. Po udrękach obozu, w którym bezustannie podczas rutynowych apeli, była wystawiana – niczym na targu niewolników – na widok publiczny, była niejako „na oku" strażników, szukała bezpieczeństwa samotności, intymności, które miały jej ułatwić określenie własnej tożsamości. Nic dziwnego, że po wyzwoleniu nie mogła już znieść innych zniewoleń:

Każdy z mijanych mężczyzn zahaczał o nią spojrzeniem. Właśnie, zahaczał. To były spojrzenia-harpuny, była rybą do złowienia. Potykała się w pantofelkach Hrabiny, stropiona, tropiona oczami głodomorów. [SF 84]

W tej konkretnej sytuacji dziewczyna znajduje pewien świat wolności i bezpieczeństwa pośród świata książek przypadkowo zgromadzonych w jednym z baraków:

Dopadła biblioteki, barakowego azylu. Sam zapach papieru i kurzu, cisza, ostrożne

stąpanie, przywracały poczucie bezpieczeństwa. Za oknami mogły zbierać się jakie chciały burze, tu była świątynia słowa. Drukowanego. [SF 84]

Uwolnionych przez aliantów *dipisów* „polowania na Fraulein, które ją i jej towarzyszki przejmowało tak patriotyczną zgrozą" [SF 84] zaważyły na relacjach pomiędzy Teresą a Karolem, który – jak się później okaże – w stalagu czy oflagu, po prostu

(…) bez pasa, bez broni, bezwolnie przeleżał pięć lat na pryczy, przegrał w brydża, przespacerował po dziedzińcu, patrząc na niedostępne góry, tak bliskie, na o każdej porze roku inaczej zabarwione łąki. Jego narzeczona zdążyła tymczasem wyjść za mąż. Nawet się chyba nie zdążyli pocałować. [SF 84]

Romanowiczowa pokazuje swoistą ironię złośliwego losu. Oto jeszcze anonimowy Karol zagaduje Teresę po niemiecku – *Fraulain* – i niejako z miejsca kwalifikuje się do tej prostackiej grupy polujących na kobiety pokonanego narodu. Teresa, wiedziona rodzajem przekory, odpowiada po niemiecku. Kiedy okazuje się, że jest Polakiem, gotowym do kontaktu z Niemką, stawia przy nim znak zapytania. Kolejne spotkania niby coś zmieniają w ich stosunkach, doprowadzają do związku małżeńskiego, ale uraz pozostaje.

Związek małżeński Teresy z Karolem jest znaczony bezustannym niedosytem. Pojawiają się w nim wciąż zahamowania. Kobieta bezustannie przeciwstawia oszczędnego Karola, z Szymonem, człowiekiem o szerokim geście. Uładzony Karol okazuje się nieco mdły na tle rozbuchanego seksem Miklosza. Wartościowy Karol bezustannie ją irytuje:

Nie na wiele zdał jej się niemiecki, nawet zaszkodził, choćby wtedy na łące, z Karolem. No a z Karolem po polsku czy po niemiecku, czy się porozumieli? Czy się kiedykolwiek dogadali? Nawet porozumienie ciał było między nimi potencjalne, pewność i niepewność, ogarek nadziei. Parę iskier. [SF 128]

Zofia i Kazimierz Romanowicz przed wejściem do Hotelu Lambert w 1962 r., fot. Archiwum Emigracji, Biblioteka Uniwersytecka, Toruń.

IV

Natomiast związki Teresy z Mikloszem mają już inny charakter. Ten południowy Słowianin, charakter zdobywczy, tryskający energią, bezustannie zmieniający bezwolne partnerki, tryskający seksualizmem i erotyzmem, prowadzi z byłą więźniarką z Polski swoistą grę:

> *Mikloszowi poszło z Teresą nie tak prędko i nie tak łatwo. A raczej nie tak po prostu. Może dlatego chwycił ją w mocniejsze szpony i – nie będąc nigdy jej pewny, dłużej na niej wypróbowywał swej władzy. Dłużej łudziła jego złośliwe pragnienie.*
>
> *Zła kolejność, kolejność pechowa. Gdyby z Karolem nie byli z góry zahamowani, z odmiennych a właściwie analogicznych powodów, gdyby nie było tej pierwszej, nie*

chcącej zagoić się kompromitacji na bawarskiej łące! (...) Obyłoby się bez Miklosza, doskonale mogłoby się obyć.

Miklosz był wszystkim, czym Karol nie mógł być, także i z jej winy. [SF 82]

A Miklosz? O, ten jak Szymon nie musiał machać ręką i żołądkować się, że kelner go ignoruje. Nie dłubał za drobnymi w portmonetce, nie oglądał menu wywieszonego na ulicy, kalkulując czy obok nie będzie taniej. Nie pracował, nie zarabiał, miał i wydawał bez liczenia.

Jednak z Mikloszem nie w głowie im było jedzenie, coś przełknęli, czymś popili, byle jaknajszybciej wyjść i najdłużej być razem.

Miklosz nie starał się, tak jak Karol, kamuflować swego cudzoziemskiego akcentu. Nie był żadnym emigrantem, naturalizowanym czy nie. On był Cudzoziemcem właśnie, był Obcym, zawsze i wszędzie cudownie obcym, innym, skądinąd. Nie nosił wstążeczek orderowych, po co? Choć musiał ich pewno mieć całą kolekcję. Wojenną przeszłość miał wypisaną na twarzy, w sposobie bycia. Nie rozwodził się też ględząc nad swymi wyczynami, nie rozbudowywał legend o byłych bojach, nie weryfikował się, żebrząc o zaświadczenia. Coś mu się tam czasem przypominało, mimochodem i to mimochodem było takie, że zapierało dech..

A może kłamał, mimochodem? Może ta szrama na policzku także kłamała, stanowiła jedno z akcesoriów, jedną z masek? Czasami Teresa czuła że ociera się o coś zwodniczego, coś teatralnie próżnego, nie zdanie lecz tyrada w odgrywanej po raz setny roli bohatera i kochanka. Długo nie chciała wierzyć samej sobie, przeciwnie, zaciskała powieki by sobie i jemu ułatwić oszukiwanie.

Bo przecież tak na dobrą sprawę Zwodziciel został przez nią zwiedziony, ona jego też w końcu oszukała, nie tylko samą siebie. Cały czas oszukiwała go, bo gdy myślał, że już zdobyta, już zaliczona, ona wciąż należała do Karola, a gdy zdobytą już, więc unieważnioną, odrzucał, ona właśnie i tak miała odejść. To znaczy wrócić. Do Karola.

Właśnie, chyba tak. Z jej strony oszukiwane, bo pomyłka. Ze strony Miklosza oszukiwanie, tak, ale też i pomyłka, mała pomyłka, która... Gdyby wiedział!

To było zresztą tak dawno, ile lat? Miklosz, być może, zmienił się, postarzał, z siły wieku tak łatwo przejść w starość. Miklosz postarzały? Podtyty, jak jego sobowtór w kawiarni? To by ją dopiero na dobre wyleczyło. [SF 88-89]

Zofia Romanowiczowa zrobiona przez córkę Barbarę w Jours w 1987 r.

V

Powieść Romanowiczowej posiada znamiona sztuki teatralnej. Od początku akcji czuje się, że nad światem przedstawionym w utworze wisi tragedia. Sygnalizuje to bezustannie pojawiający się motyw Waltera, pistoletu, w który zaopatrzył się Karol pragnący w jakiś sposób zrekompensować wcale nie bohaterski, nawet nudny, nieciekawy sposób życia w jenieckim obozie. Romanowiczowa prowadzi narrację

tkając poszczególne wątki i motywy niczym misterną materię tak, że wzajemnie się określają, uwydatniają, wyjaśniają. Bezustanny okrzyk: „Sono felice” oznacza łaknienie szczęścia i jego szukanie; marzenie o biblijnym raju, zaludnionym przez Adama i Ewę. Ci szczęśliwi prarodzice człowieka współczesnego wypełniają powieść niemal po same brzegi. Ważną konstrukcyjnie rolę pełni motto utworu w postaci elegii Jana Kochanowskiego (III, 8) w przekładzie Juliana Ejsmonda *Do Karola*, elegii, której szczególny fragment przewija się przez tok narracji, a mówi o śmierci Henryka, który „zginął śmiercią tak okrutną”:

Teraz, w czasie pokoiu y zabaw rycerskich

Krwią ciekący porwanyś za wody Styxowe,

Tam, gdzie światłość przechodzi przez szparę w przyłbicy

Straszna kopia przeszyła ci na wylot głowę.

Śmiercią okrutną – ironia losu – ginie Teresa. Wróciła do domu z ostatecznym przekonaniem, że jedynie Karol jest jej najbliższym człowiekiem. Mówiąc, że jest szczęśliwa właśnie z nim, niebacznie – przez pomyłkę – przywołuje imię Miklosza. Znękany latami zazdrości Karol zabija Teresę. Kula z Waltera przechodzi przez czoło, właśnie „przez szparę w przyłbicy”.

Okazuje się, że powieści Romanowiczowej zwykle bywają utworami o relacjach pomiędzy jednostkami ludzkimi. Łączy je ze sobą niemal ta sama narratorka-bohaterka, która przeszła piekło więzień hitlerowskich i obozów koncentracyjnych „czasów pogardy”. Zazwyczaj to, co najgorsze jest już za nią; poszukuje zwykle możliwości wejścia w życie „normalne”. Jednak dramatyczna przeszłość w każdym przypadku wlecze się za nią to nękając ją, raniąc, to znów prowadząc do najbardziej skrajnego finału, do śmierci. Jeśli przedmiotem refleksji w niniejszym artykule jest powieść *Sono felice*, to głównie dlatego, iż wydaje się pokazywać najbardziej skomplikowaną wersję ludzkiego losu w dwudziestowiecznej rzeczywistości europejskiej…

---

[1] Wszystkie cytaty oznaczone skrótem SF pochodzą z wydania: Z. Romanowiczowa: *Sono felice*. Londyn 1977. Cyfry arabskie po skrócie oznaczają stronę.

Zofia Romanowiczowa, urodzona w 1922 r. w Radomiu, zmarła w 2010 r. w Lailly-en-Val we Francji, polska pisarka i tłumaczka emigracyjna.

Włodzimierz Wójcik*, prof. Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, były dziekan Wydziału Filologicznego, zmarł w 2012 roku.*